

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 26 lutego 1916 roku.

Nr 9.

Narody oraz ich filozofie...

Świadomość europejska już teraz prowadzi uporczywe poszukiwania ideologiczne, już teraz obala stare bożki, lub też stara się pomalować je i odświeżyć do użytku na przyszłość. Uczeń francuski, angielski, rosyjski patrzy na żywiołową katastrofę wielu teorii. Wojna unicestwia niejedną przesadę, odsuwa do archiwów historycznych mniemania tradycyjnie poważane i pewne. Wojna też skosi i wykopie grób różnym doktrynom chwilowym, przelotnym, choć modnym. Myśl jednak europejską czuwa wyteżenie na straży swoich ideałów. Narody biją się bowiem nie tylko o rynki zbytu, o możliwość ekspansji polityczno-gospodarczej. Wraz z walką o przemysł i handel prowadzi obecnie Europa turniej o możliwość takiego a nie innego wartościowania ideałów. Wynik wojny zdecyduje o ideałach dla pokoleń przyszłych.

Troska więc przejmie mózgi wszystkich świadomych a uspołecznionych myślicieli. Wynik wojny zdecyduje o kierunkach w sztuce, muzyce, filozofii. Na całym życiu zbiorowisk ludzkich wojna obecna wycisnie swoje krwawe piętno i otworzy perspektywy zdecydowane dalszej pracy i dalszej twórczości.

Z troski też takiej powstała słynna dziś w Niemczech enuncjacja Ryszarda Dehmela, największego poety-liryka Germanii proletaryackiej a ludzkiej: „Walczmy o dusze nasze, o naszą młodą a bujną zdolność organizacji i twórczości. Wrogowie nie są tak mali, iżby tylko prowadzili wojnę o handel, o przemysł, o dochody. Chcą zmiażdżyć ducha naszego, który umiał wywieść z nicości państwo niemieckie. Rozwinął naszą żeglugę, nawiązał nici handlu z całym światem, zdobył na wyłączność całe dziedziny przemysłu, wiedzy i sztuki”.

Podobne też rozmyślenia doprowadziły Wilhelma Wundta, sędziwego profesora lipskiego, do konkluzji prawie identycznych. Już w ciągu wojny wydał dwie książki, gdzie rzuca swemu społeczeństwu przed oczy, jak odpowiedzialną wobec przyszłości jest walka obecna. Wszystko należy poświęcić, by nie pozwolić wrogom na obniżenie wartości haseł, świętości, ideałów, w imię których pracowali od czterech pokoleń Niemcy. Niecierpliwie szuka tych haseł i u narodów koalicji: Włochów, Francuzów czy Anglików. Píše książkę „Narody oraz ich filozofie” z podtytułem „Jeden rozdział z wojny świata”, by przeświadczyć swego czytelnika, że chodzi o skarby najdroższe: wolność ducha, niezależność, twórczość, możliwość rozwoju dla każdego narodu. Na wszystkie te ostoje posiadają obecnie Francja, Anglia i Rosja. By przekonać zasadniczo — pokazuje w skrócie rozwój ideologiczno-filozoficzny Włoch. Francji i Anglii. Przeciwstawia niemieckie ideały. I znajduje zawsze szlachetny kruszec idealizmu.

Włochy wyprowadziły ludzkość z ciemności dociekań scholastycznych, rzuciły podstawy pod pracę doświadczalną pokoleń, zaważyły na losach całego współczesnego dorobku. Ale... zapoczątkodawcami tych usiłowań byli Niemcy: Mikołaj de Kues, Theophrast Paracelsus i Mikołaj Kopernik. Wundt uważa Kopernika za Niemca, nie bacząc na źródłowe dowody jego przynależności do Polski, nie zważając na osobisty w tej sprawie głos Kopernika, który podkreślał swoje pochodzenie. Kues, Paracelsus i Kopernik rzucają trzy płodne idee: nieskończoności, mikrokosmosu i względności zjawisk.

Idee te we Włoszech znajdują genialnych szermierzy i twórców. Bruno. Telesio i Galileusz ugruntują

podstawy pod mechaniczne pojęcie zjawisk przyrody. Myśl o nieskończoności stworzy koncepcję polityczno-religijną o uniwersalizmie kościoła katolickiego. W etyce wolał się osią rozważań o Dobrze i Złem. Tworzenie Dobra i zwalczanie Zła jest źródłem prawdziwego szczęścia ludzkiego — jak to definiuje Giordano Bruno. Niebawem założenia te znajdują dalszy swój rozwój w rozważaniach Kartezjusza, który poprowadzi dzieło twórczości ideowej na nowe szlaki. Mechanistycznie dynamiczna materya, myśląca dusza i Bóg, który stworzył jedną i drugą, dając poznanie siebie — oto myśli płodne, nigdy nie rozwiązane przez myśl francuską, choć zostały wysiłkiem galskim postawione na forum rozważań. Od czasów Kartezjusza stale obraca się myśl francuska koło tych samych problemów. „Te trzy przypuszczenia, sądzi Wundt, do dziś są założeniami filozofii i świadomości inteligentnej i wykształconej Francji”. Praca Bergsona, a nawet altruistyczne idee Comte'a nie wyprowadzą poza te przedyskutowane myśli, zostawiając zawsze pole do mnóstwa pytań. Filozofia francuska cierpi nieuleczalnie na dualizm. Etyka zaś ciągle stara się rozwiązać pytanie, w jakich warunkach egoizm staje się altruizmem. Po przez egoizm ujmuje Francja wszystkie zjawiska świata moralnego. (Str. 32). Ale dopiero w Anglii postulat ten, ugruntowany na czystym utylizyzmie, znalazł wyłączne zastosowanie. Już Bakon wyłączy religię z systemu nauk, choć z drugiej strony purytyzm angielski uchwycił się za znane hasło starego testamentu: Izrael jest ludem wybranym. Od czasu zniesienia hiszpańskiej armady na morzu myśl ta została przez Anglię pochwycona i dojrzała w całym angielskim społeczeństwie. (Str. 40). Nie przeszkadza to, że Anglicy pierwsi przyjęli zasadę mechanistyczności zjawisk w całej rozciągłości, bez żadnej domieszki

czynników psychicznych, co więcej, czynniki te spowodowały do ruchów mechanistycznych ciała. Samoza-chowawczość niebawem stanie się kierownikiem moralności, w której egoistyczna walka wszystkich z wszystkimi jest pierwowzorem społeczeństwa. Egoizm narodowy, utilitaryzm społeczny — oto teorie, które dała światu Anglia. Zachłanność angielska posuwa się aż tak daleko, że nie tylko asymiluje prędko zdobycze wiedzy obcej, ale je natychmiast anektuje. Naprzykład odkrywcą prawa zachowania energii, Mayer lub też Helmholtz, nie istnieją jakgdyby dla nauki angielskiej. Ich podręcznik fizyki wymienia za to nazwisko Joule'a. (Str. 47). Pocieszyć jednak można Wundta, że nie tylko Anglicy grzeszą pod tym względem.

Podwójna moralność przytem istnieje w Anglii, jak przypuszcza Wundt, którego razi ten konwencyonalizm sumienia. Nie znajduje też w duszy francuskiej żadnych głębszych uczuć, dźwigających i prowadzących naród ponad żądzę sławy, zamięłowania do błyskotek, zewnętrznej elegancji. Co Anglik robi dla interesu i tylko dla interesu — francuz zrobi za ochłap sławy. Już od dzieciństwa francuz wychowuje się w pogoni za odznaczeniami. „Paryska akademія wyznacza co rok tyle nagród za rozwiązanie różnych zadań naukowych, że wszystkie akademie innych narodów razem wzięte nie mogą jej dorównać“. Dziwi to Wundta i z tego wysnuwa dalsze wnioski o powierzchowność francuskiej. (Str. 128).

Naród niemiecki, jako czynnik twórczy cywilizacji obecnej — wszedł na widownię świata w wieku 19. Zawsze jednak wyznawał ideały, powstające z głębokich tęsknot religijnych i metafizycznych. Cała filozofia niemiecka nosi na sobie to narodowe piętno. Leibniz dla Wundta jest takim prototypem uczonego i myśliciela niemieckiego. Wprawdzie pisał on po francusku, ale przez to, że język niemiecki „dziedziczył w wojnie“ (Str. 73). Monadologia Leibnizowska położyła kamień węgielny pod „monizm, pod żądanie myśli współczesnej, by rozpatrywać Byt jako organiczną jedność. Z przypuszczenia, że istota wszystkich rzeczy jest stworzona według tego, jak dany nam jest ludzki duch, który też jest zwierciadłem świata, przyszedł do wniosku, że należy myśleć o bycie, jako o duchowej koncepcji. „Harmonia świata“ była już dalszym stadiem dażności idealistycznych Leibniza. W konsekwencji religia i filozofia powinny się łączyć w harmonijnym poglądzie na świat, któryby jednocześnie zadawał rozum i serce. Te postulaty znaleźć można we wszystkich głównych systemach myślenia niemieckiego. Po przez Kanta, Fichtego, Schellinga, Hegla, Schopenhauera, Nietschego stale wra-

cają te myśli na pole rozważań i trosk umysłowości niemieckiej. Etyka niemiecka prześlągnięta jest też idealizmem. Kantowski postulat o kategorycznym imperatywie moralnym rządzi po dziś dzień rozważaniami nad etyką. A zresztą woła Wundt: Kto nie zna niemieckiej wierności, niemieckiej obowiązkowości? (Str. 152).

Idealizm więc powinien zwyciężyć. Taka nasuwa się konkluzja po przeczytaniu książki Wundta. Ten idealizm znalazł już i wśród publicystów oddźwięk, by przekonać społeczeństwo niemieckie, że nie tylko Anglia i Francja walczą o jakieś ideały „narodów małych“. Niemcy walczą też o wolność. Bronią praw do wolnego rozwoju dla siebie, jak i dla każdego narodu. Nowopowstałe pismo „Deutsche Politik“, wydawane przez Ernesta Jacky, Paula Rohrba-

cha i Philippa Steina, postawiło sobie za zadanie spleść dążenia imperialistyczne niemieckie z tendencjami kulturalnym; innych ludów. Tacy pisarze, jak Mann, Kerr, Hiller, Peschke, wydają zbiorową książkę „Das Zie“, wydają zbiorową książkę „Das jako twórcza zasada.

O wartości jednak tych myśli i trosk uczonych a publicystów niemieckich zdecyduje wojna. Świadomość europejska na przyszłość znajdzie niejeden wskaźnik w obecnej wojnie. Ale programy pracy należą jeszcze do rzeczy tylko przypuszczalnych. W każdym razie, poszukiwanie takich podstaw jest znamienne i świadczy o niecierpliwem oczekiwaniu końca tych gigantycznych walk, które rozgrywają się na polach Francji, Litwy i Polski.

Eustachy Czekalski.

Andrzej Strug.

POWIEŚĆ.

Dzieje jednego pocisku.

28

Pogwizdywał sobie wesoło i szedł z dumnie zadartą głową, z radością w podsiniałych oczach. Przestała mu nawet dolegać zraniona prawa ręka, w której ból wiercił bez ustanku już od paru miesięcy. Wszystko się odmieniło naraz. Podziała się gdzieś ze szczeniem trawiająca złość na wszystko i na wszystkich, która zgrzytała w nim o każdej chwili. Nie było brzydkiego wstępu do siebie, ani zawiści, ani rozpacz, ani tej dyabelskiej pokusy, żeby zrobić nareszcie jakieś największe łajdactwo na złość sobie i całemu światu i na tem łajdactwie stanąć, jak na wysokiej wieży, i stamtąd plunąć na cały świat.

Było nareszcie dobrze! Tak — jak za tamtych czasów, kiedy był jeszcze porządnym towarzyszem i chodził ze swoją piątką na uczciwą robotę rewolucyjną — na rozkazanie partyi. Tak jak gdyby wyszło z grobu stare matczyisko i ujęło go za tę biedną głowę: oj, Kaziu, oj, Kaziu — dziecko ty moje jedyne...

A czas już było na tę dobrą chwilę.

Kaziu Rewilak, inaczej tak zwany „Cichy“, a w partyi znany pod imieniem „Kureki“, a potem jako „Cyngiel“, miał, pomimo niespełna dwudziestu lat, długie dzieje doli i niedoli. Miał on swoje czasy szczęścia i chwały i krzywdy i utrapienia i hańby. Złe zaczęło się rok temu, a jak się raz zaczęło, to go gnębiło i spychało go coraz niżej. Rok temu wyrzucili go z bojówki. Za co? Za nic.

Spotkał raz w piwiarni na ulicy Smoczej towarzystwo pijanych andrusów, którzy sami z nim zaczęli. Jeden go skądściś znał i od razu do niego: Ty hyciu partyjny! co ty na naszych po mieście polujesz? Pójdiesz na stryk, gałganduchu, pierwszemu salcesonowi cię wydam i na sądzie poprzysięgnę. Ty reżniku ludzi niewinnych! I tak dalej. „Kureki“ wyjął maszynę i tego urągającego położył na miejscu, dwóch jeszcze poranił, do czwartego nie trafił i uciekł.

Z tego się zrobiła cała sprawa. Sądził go towarzysz i osadzili niesprawiedliwie, a do kogoż było apelować? Wyrzucili go z piątki i z bojówki, przegrozili, nastraszyli i kazali wracać do dzielnicy, do zwyczajnej roboty, zapowiedziawszy jeszcze: Warto ci było w łeb strzelić, ale cię szkoda. Idź i zasługuj się w partyi — tylko żeby o tobie było cicho! Już my będziemy mieli na ciebie oko. Ale kiedy mu kazali oddać broń — nie usłuchał. Tego już mu było za dużo. Ze łzami w oczach prosił i tłómaczył. Jakże on może zostać bez broni? Był tam jeden srogi towarzysz, który agitował, żeby go ukarać na miejscu. Rewilak nie opierałby się temu i zupełnie lojalnie zgodziłby się na wszystko, ale broni oddać nie mógł, nie chciał i nie oddał. Udało mu się jakoś unieść cało głowę z tego sądu. Ale ogłoszono go po wszystkich dzielnicach, partya go się wyparła, dawni towarzysze patrzyli na niego z pod oka, kiedy ich mijal na ulicy, i bardzo mało kto chciał się z nim za-

dawać. Nagromadziło mu się w duszy żalu i złości. Ręka, przestrzelona kiedyś powyżej łokcia, nie chciała mu się goić, do żadnej roboty stanąć nie mógł. Zaczęła się niedola.

Z początku błakał się luzem, a potem stowarzyszył się z jednym facetem, który się nazywał „Murzyn” i chodził na osobności, nie należąc do żadnej komuny bandyckiej. Przez niego poznał się z wytrawnym i starym bandytą „Michalskim”, człkiem tajemniczym, który mógłby być ojcem Rewilaka. Był to drab już szpakowaty, zawsze zły i milczący, a gotowy na wszystko. Ten z całej trójki najcelniej strzelał, ale dowodził wszystkimi „Murzyn”. Płatała się przy nich jeszcze Franka, „siostrzenica” Michalskiego, a w gruncie jego kochanka, dziewczyna sprytna do wszystkiego i ciekawa wszelkiego świata, z powołania łajdaczka, szczwana, bezczelna, choć miała nie więcej nad lat siedemnaście. Niewiadomo, co trzymało w kupie kompanię, bo nie było tam żadnej przyjaźni, ani wzajemnego zaufania. Rewilak źle się czuł przy nich, ale zawsze z kimś musiał trzymać, bo jakże tak samemu? W istocie czuł on wstręt do robienia komuny nawet u najbogatszego burżuja, ale żyć z czegoś musiał, więc znosił do czasu wszystko i chodził z nimi — to sobie tylko postanowisz, że zabijać nie będzie. Zresztą, banda nie zabiła jeszcze nikogo, robotę załatwiano polubownie, najwyżej strzelano w sufit dla postrachu.

Mieszkali wszyscy razem w jednym drewniaku na Górczewskiej. Raz im się poszczęściło i przez dwa miesiące mieli z czego żyć i nie wychodzili całkiem na robotę. Rewilak chodził do szpitala na opatrunki, ręka go wciąż bolała — chcieli mu coś w kości dłużyć, bo mu się coś tam psuło, namawiał go doktor, żeby się położył na parę tygodni, ale chłopak nie chciał. Znosił ciągły ból, jakby zasłużoną karę za coś. Za co?

Nie wiedział tego dokumentnie, ale w duszy było brzydko. Strasznie dolegała pamięć dawnych czasów. Strasznie chciało mu się wierzyć, że tego innego czasu nie było zupełnie. Chciało mu się wierzyć we wszystko, co mu kładł do głowy „Murzyn”. — Ani Pana Boga niema, ani żadnej prawdy na świecie niema. Jest tylko to, co jeden człowiek temu drugiemu zębami wydrze. Jakby socjaliści dobrego chcieli, toby puścili robotnika na burżujstwo, a nie kazali mu w fabryce siedzieć. Kto mądry, a śmiały, ten sam sobie socjalizm robi. Ja czasu nie mam na czekanie, a żyć jak bydlę też nie chcę, bom człowiek. Inszemu szczeniakowi się wydaje, że już jest coś, bo się tej śmierci nie boi. A ja się niczego nie boję. Rodzonego ojca bym zarżnął i nie oglądał się na głupie ludzkie prawo..

Nauk tych Rewilak słuchał zawsze z największą ciekawością. Ogarniał go strach przed okropnym człowiekiem, brała go i żądza, żeby samemu się raz przerobić, raz odważyć, wyzbyć się wstydu i pamięci na wszystko dawniejsze, co w nim jeszcze żyło i mordowało, a dolegało gorzej, niż ból w zranionej ręce.

Imponował mu mądry, łajdacki uśmiech, z jakim o różnych rzeczach gadał stary Michalski, rozpalala go Franka dyabelskimi swojimi pomysłami i bezczelnym bluźnierstwem przeciwko wszystkiemu, co tam zostało w nim jeszcze. Ale odważyć się jeszcze nie mógł. Brakowało jeno mały krok uczynić, żeby się z tamtymi zrównać, a nie mógł się jakoś przezwyciężyć. Dopóki gadali — słuchał i przytakiwał we wszystkim, ale jak przychodziło do samej roboty — zapowiadał zgóry, co zrobi, a czego nie zrobi. To też w kompanii mieli go za głupiego. Tego się wstydził, ale poprawić się było trudno. Bo choć na tym świecie najłatwiej o podłość, jednak nie wiedział tego ekstowarzysz „Cichy” czyli „Kureki”, jak to trudno stać się prawdziwym łajdakiem, bez czci i wiary.

Był popychadłem przy starych bandytach i słuchał ich, ale nie we wszystkim. Starzy cenili go za wierność i uczciwość, które w komunie bandyckiej, jak wszędzie, nie dają kariery, ale jak wszędzie są bardzo potrzebne i mają swoją cenę.

Po paru miesiącach komuna się rozpadła.

Ktorego wieczora stary Michalski, wróciwszy do domu niespodzianie wcześniej, złapał Frankę z Murzynem. Uczynił się rwetes, wrzask, ale Murzyn zdołał uciec. Rewilak wpadł na krzyki z bronią gotową, a widząc, że stary tarmosi dziewczynę po ziemi półnagą, myślał, że to zwyczajne bicie, jakie się France czasami obrywało.

— Kaziem, broń, rany boskie! — wrzeszczała dziewczyna, ale on się do takich rzeczy nigdy nie mieszał. Już miał wychodzić ze stancji, kiedy widzi, że stary wyciąga maszynę. — Oho — pomyślał sobie — trza będzie brać nogi za pas, zabije ją i policja na nas wsiaśnie.

Ale widzi — stary nadeptał dziewczynę nogą na gardziel, aż ucichła w jednej chwili i strzelił raz, strzelił drugi raz, trzeci, czwarty...

Ale na tem był koniec, bo Rewilak, sam nie wiedząc, kiedy, wsadził mu dwa naboje w plecy. Poczem zabrał się i poszedł na ulicę, tak jak stał, bez czapki, tylko z tą maszyną w ręku, bo ludzie się już zbiegali, a patrole gęsto chodzili wtedy po ulicy Górczewskiej.

Ciężkie były jego koleje. Chodził po sklepach, chcąc się zgodzić na stałego „ochrone” od bandytów, jak to wówczas było we zwyczaju w Warszawie. Ale nikt nie chciał z nim

gadać, bo sam wyglądał na bandytę i nie miał żadnego poręczenia. Pochodził po starych znajomych partyjnych, przedstawiając swoje oplakane położenie, ale dobrą sławę do reszty był już stracił, więc go wyrzucano za drzwi, albo też dawano cośkolwiek na odczepne z tego strachu, żeby nie być przez niego wydanym. Najstraszniejsze było dlań to posądzenie o zdradę. Rzewnemi łzami się zalał, kiedy mu ktoś o tem bąkał i o mało tego oszczerca na miejscu nie położył. Pisał listy do partyi, ale mu nikt nie odpowiadał. Podejmował się dokonać różnych trudnych czynów, życie oddawał, byle go przywrócono do dawnych praw. Ale nikt z nim nie chciał nawet gadać, tylko go ostrzegano przez ludzi, żeby w oczy zanadto nie lazi, a najlepiej, żeby się gdzie podział, jeżeli chce życie zachować. Nie mogąc zaś głodu i poniewierki dłużej znosić, zaczął znowu wstępować chyłkiem do monopolów i sklepów — tak między dziewiątą a dziesiątą wieczorem, na ustronnych uliczkach, wypatrzywszy, że w sklepie niema mężczyzny — wpadał, czynił gwałt, wołał na pomoc swoich kamratów, co to niby czekał „w sześciu” na ulicy, czasami strzelał w sufit i wynosił po parę rubli. Z zemsty za to i dla pocieszenia w strapieniach, a niejako jakgdyby za pokutę, strzelał po nocy do stójkowych, do żandarmów, do samotnie spotykanych oficerów. Prócz tego czynił na ulicy porządek: kiedy widział, że alfons szarpie się z kobietą, walił do niego, nie pytając, o co idzie. Raz ranił jakiegoś porządnego pana, prześladowanego po nocy samotną panienkę. Jeżeli w swoich wędrówkach po mieście trafił na dwóch bijących się andrusów, czekał spokojnie, aż jeden drugiego powali, i strzelał do tego, który był na wierzchu. Po knajpach robił znajomości i podejmował się różnych niebezpiecznych spraw. Postrzeliwał nieludzkich majstrów, na których skarżyli się pijani robociarze, śledził podejrzanych o szpiclowanie nieszczęśników, z których nienajeden padł z jego ręki. Żył Rewilak bez jutra, bez żadnych planów. Dolegały mu czarne myśli, bolała ręka — zapijał tedy sprawę monopolką i włóczył się po mieście z głową wiecznie zaczadziłą, ponury, napół obłąkany, siejąc po drodze śmierć i wyzywając tę śmierć na każdym kroku. Ale opóźniała się jakoś jego godzina.

Dalszy ciąg nastąpi.



Z notatek zesłańca 1862 roku.

Józefa Hertza.

6

Na statku toasty.

Przemowa Franka Zawadzkiego, który wraca do kraju. Wraca również Julek Jankowski.

Z sympatją odnosi się do nas młody rosyjanin, Woroncow, syn głównego zarządzającego żegluga.

O godz. 1 odpływamy na pokładzie „Burlaka“.

Kapitan „Burlaka“ umieszcza nas w 3 klasie, dla kilku przewiduje kajutę w 2 klasie.

Dn. 8 czerwca, poznawszy nas bliżej, dodaje 2 kajuty klasy 1-ej.

Na statku jest jeden pasażer polak, p. Mysłowski. Jedzie do Omska. Mijamy ogromne góry.

Dn. 9-go zatrzymujemy się w *Sarapulu*. *Przejażdżka*. Miasto ładne. Stroje europejskie. (Zielone Świątki). Na statku odwiedzają nas: ks. Karański, p. Galiński i „śledowatki“ Kulwiec.

Dn. 10-go — rozmowa z żydem z Dynaburga. O godz. 11 wiecz. — stacja *Ochańsk*.

Dn. 11-go rano spostrzegamy zniknięcie Saladyna, Maksa i Janka. — Oburzenie moskali. — Groźby. Moskale dziwią się naszej wesołości.

Późnym wieczorem przybywamy do *Permu*.

Podpułk. Falberg b. grzecznie nas przyjmuje, daje wygodną kwatere w koszarach.

Noc tak widna, że o godz. 2 list piszę bez lampy.

Dn. 12-go odwiedza nas ks. Ściegienny.

Całuje się z Jakubem.

Ogólne wzruszenie. Nikt nie może słowa przemówić.

Odwiedziny Nowakowskiego. — Malinowski, architekt. Czarniecki. — Obiad u Mysłowskich.

Dn. 13-go rano wszyscy u księdza. Nowy Testament. Wraz z księdzem idziemy do Nowakowskiego.

Zakaz wpuszczania, wydany przez żandarma.

Wiadomość od p. Olimpij o wykryciu przepadłych kolegów. — Obiad u pp. Korson, gdzie zastajemy ks. Dzierzkowskiego. — Przedwieczorem Fogel z Mińska. — Dowiadujemy się, pułkownik Falberg polecił naczelnikowi etapu, zaraz pierwszego dnia, okuć nas w kajdany, ale mu to wyperswadowano. — Łaźnia u pułk. Budkiewicza. Wiadomość od tegoż o konstytucji i wice-królu.

Dn. 14-go — pogłoska, iż mają nas tutaj w służbie zatrzymać. Obiad u pp. Sylwestrowiczów.

Dn. 15-go nie idę na obiad nigdzie. — Wieczorem u księdza. — Tłómaczę mu przyczyny. Nie uwzględnia. — Z księżmi do Mysłowskich. Nie zastajemy. Wracamy do księdza.

Dn. 16-go — z księżmi na obie-

dzie u Sylwestrowiczów. Wieczorem u Czarnieckiego.

Całą noc piszę.

Dn. 17-go obiad u pp. Korson. Wieczorem zawiadamiają nas, że jutro wyruszamy.

Dn. 18 czerwca o godz. 4 po poł. pieszo wychodzimy z Permu. Dziecię wiorst idą z nami ks.ks. Ściegienny i Dzierzkowski oraz pp. Mysłowski, Korson, Czarniecki, Malicki, Hryniewiecki, Fogel.

Pożegnanie. Kanonik Dzierzkowski zabiera listy do kraju. — Idziemy dalej piechotą w ulewny deszcz. — O godz. 11 wiecz. stajemy we wsi tatarskiej Kajanowo. Tatar gotuje zrebę.

Dn. 19 najmujemy 5 podwód i nazajutrz przybywamy do m. *Kungur*. — Jarmark. — Kwatera wygodna. — Odwiedza nas dr. Bratkowski i zaprasza na wieczór. — Kupuję fuzję. — Do północy bawimy u pp. Bratkowskich. — Śpiewy. Córeczki akompaniują nam na fortepianie.

Dn. 21-go obiad u pp. Batagowskich, wieczorem u pp. Truszkowskich. — Nuty — „Kłosa Polskie“ Troszla.

Z powodu burzy zostajemy jeszcze dzień w Kungurze i spędzamy go prawie wyłącznie u dr. Bratkowskiego. Panienki grają. — O godz. 6 wracamy. Wkrótce przybywa do nas doktor z p. Kor... i zapewniają, że Konstanty ogłoszony wice-królem i że nadana konstytucja.

Do godz. 2 w nocy bawimy u Bratkowskich. Są u nich wszyscy miejscowi polacy. — Dyskusja, śpiewy, czytanie Mickiewicza. — P. Kor... miał jechać o godz. 10, ale został dla nas.

Dn. 23-go, mimo złej pogody, żegnamy Kungur i odjeżdżamy na 7 furmankach. Panie z p. Targońskim jadą naprzód. Oczekują nas w Sabak-szynie (31 wiorst) z posiłkiem. Pp. Batagowski i Truszkowski przybywają później. (Czynili starania o podwozy dla nas). Towarzystwo pozostaje z nami do wieczora. — Przyjazd żandarma. — Pani Batagowska pije do nas. — Przed pożegnaniem śpiewy. Płacz kobiet. Proszą o listy.

Nazajutrz ruszamy dalej. Okolica górzysta i leśna. Widok b. przyjemny. — W czasie postojów polowania na ładzie i wodzie. — Pogoda sprzyja.

Psuje się dopiero 27-go. Dnia tego nocujemy w Kirgiszańsku. Następnego dnia przeprowadzamy się przez rz. Czesową (dopływ Kamy) i stajemy na nocleg w siole *Bilimbaj-ba*. Jest to wielka osada, licząca do 2000 dusz. Chaty przestronne. Fabryka żelaza. Handel win. Szpital. — Majątek hr. Strogonowa. Wyjeżdżamy stąd na 4-ch trójkach dn. 29 czer-

wca. — Olbrzymie lasy. — Uderza nas niebywała wielkość kraków tu-tejszych.

O godz. 7 wiecz. natykamy się na marmurową piramidę. Z lewej strony napis: „Jewropa“, z prawej — „Azya“.

Pełno olbrzymich głazów. Niektóre 6 do 7 lokci. Całe góry z kamienia polnego.

Dn. 30-go czerwca przybywamy do *Ekaterynburga*. Nie znaleźliśmy spodziewanych listów, ale przysługuje nam prawo pozostania 8 dni na miejscu. W dodatku naczelnik polak i bardzo dla nas dobry.

Na ulicy zaznajamiamy się z nami dwaj oficerowie, bracia Witberg, których ojciec był zesłany do gub. Wiackiej. — Odwiedziny u p. Ogrodzińskiego (zesłanego ze sprawy Konarskiego, a obecnie sekretarza główn. nac. górnictwa).

Pogłoska, jakoby dnia 12-go 7 wiorst za Permem widziano zbiegłych towarzyszy naszych.

Obiady wciąż gotujemy sami.

Dn. 6 lipca jesteśmy w teatrze. Dają dramat: „Paryżskie niszczyje“ i wodewil: „Wzajemne obuczenie“. W antrakcie poznajemy pp. Puckerta i Devue. Ten ostatni zaprasza. Odwiedzamy go dnia następnego.

Policmajster przysłał naczelnikowi zapytanie, dlaczego polacy tak długo bawią w mieście.

Dn. 8-go rano u Chmielewskiego, w południe u Devue; obiad u Nowickiego, u którego zostajemy do wieczora. Poznajemy studenta z Petersburga, Orłowa, zesłanego tutaj.

Przyjazd Mysłowskich. Mówią o pobycie 3-ch w Permie.

Dn. 9-go policmajster znów się o nas niepokoi. Ale już doczekaliśmy się listów. Wśród nich jeden dla Unslichta *). Zatrzymałem. — Otrzymujemy 7 podwód i wyjeżdżamy przy ślicznej, ciepłej pogodzie.

IV.

Na Syberyi.

Powietrze zmienne, droga nużąca. Trudności z kwaterunkiem i podwodami.

Dn. 13 lipca zanoszą się na wielką burzę. Zatrzymujemy się we wsi Czeremyskoje. Feingold kupuje tu dobrą fuzję za rb. 4 kop. 65 i zabija po drodze 21 gołębi.

Dn. 15-go mamy dniówkę w *Sugolsku*.

Rano przybywa Malinowski, bawi u nas dzień cały. Opowiada o postrzeleniu Sieversa. — Po południu polowanie. — Wieczorem herbatą na podwórzu („czaj z sacharom po dworianski“). Śpiewy. Pożegnanie z Malinowskim.

Dalszy ciąg nastąpi.



*) Zesłany Maksymilian Unslicht przepadł bez wieści.

Członek licznych towarzystw.

Kiedy wybuchła wojna, pan Szczesny, należący do sfery tak zwanej inteligencji, spojrzal na swoje bicepsy, potem w lustro, gdzie ujrzał czoło — jak to pisują autorki — „jaśniejące rozumem” i pomyślał:

— Nie zginę... — A po namyśle dodał: — Tembardziej, że należę przecie do tylu towarzystw i stowarzyszeń społecznych...

Lecz pan Szczesny nie przewidywał wielu rzeczy... Że wojna będzie długa i zacięta, że jajko będzie kosztowało 15 kop., że spekulacya rozwinię się tak wspaniale, iż gdyby kiedykolwiek rozwinięła się u nas równie wspaniale oświata, byłibyśmy najoświecenijszym i najszcześliwszym narodem na świecie... że „inteligencya” okaże się w pewnej chwili omal że niepotrzebną, że zejdzie do roli społecznego głodomorka i że w czasie wojny europejskiej nawet pan Szczesny może się stać nieszczęsnym...

A jednak tak się stało! Czy to skutkiem braku chwalebnej giętkości w karku, czy że pan Szczesny w odpowiedniej chwili nie ewakuował się na Wschód, czy dla innych powodów, dość że przyszedł dzień, kiedy ukazało się dno sakiewki i nerwowe, zaniepokojone palce nie znalazły już ani jednego — mówiąc poetycznie — „słonecznego dukata”.

Wtedy pan Szczesny rzekł sobie:

— Nie zginę przecie... należę do tylu towarzystw i stowarzyszeń...

Ale jedne towarzystwa się rozprzęgły, inne się ewakuowały na Wschód, jeszcze inne zdradzały taki chłód, nadmiar przekonani i katoniskość, że pan Szczesny wpadał w coraz większe przygnębienie...

— To pana wina — mówił prezes towarzystwa drapaczów ulicznych — to pana wina, że pan dotąd o nic się nie postarał, wyczerpując lekkomyślnie oszczędności, zebrane w chwilach pomyślniejszych.

Tu prezes westchnął, a pan Szczesny rzekł:

— Ja się starałem... W biurku mam dwadzieścia pięć odpowiedzi z różnych instytucji, jedna podobna do drugiej, jak dwie krople wody. „Niestety... zupełny brak miejsca... proszę się nie zgłaszać, gdyż to zbyt ciężkie...”

Na to prezes rzekł:

— No tak... podczas wojny każdemu jest trudno i ciężko. Ja sam znacznie schudłem (gest w kierunku zwisającej nieco kamizelki), ale ja coś daję sobie radę.

— Pan prezes ma trzy kamienie — rzecze skromnie pan Szczesny.

— Które nie dają obecnie nic prócz kłopotów.

— To może mi je pan odstąpi? — rzecze pan Szczesny.

— Nie miałby pan z nich ani grosza... Zaręczam. Ale... ale wspominał pan o biurku... Niechże pan je sprzeda tymczasem... a potem zobaczymy!

Tu prezes podał panu Szczesnemu rękę — nawet z pewnym jowialnym rozmachem — i po chwili pan Szczesny znalazł się na ulicy.

Dzień był jasny i słoneczny. Pan Szczesny nie spieszył się do domu, gdzie było zimno, jak w psiarni. Przystawał więc co kilka kroków przed wystawami sklepów...

— Widocznie sytuacja się stopniowo rozjaśnia, bo wystawy sklepowe znowu przepelnione żywnością. Ten ser wygląda wcale smacznie... Ta czerwona tłusta ryba rozpyłyłaby mi się w ustach, gdybym miał pieniądze... Te stopy puszek i słoików z konfiturami nie oszczędziły stołu zastawionego dobrą porcelaną...

— To mięso — monologował dalej pan Szczesny — ma kolor naturalny i wesoły... Z pewnością nie jest to konina... Wyborna, naszpikowana słoniną, pieczeń nie powinna być wagi mniejszej, niż trzy funty, choćby do stołu siadały tylko dwie osoby. Zdarzyć się bowiem może, że właśnie w czasie obiadu przywędruje ktoś, kogo nie wypada nie zaprosić... Otóż, jeżeli pieczeń ma mniej, niż trzy funty, to w takich razach pani domu robi się markotnie. Ale czasy się zmieniają — o, tak! Co za książki na wystawach sklepowych! „Proch”, „Kryjaki”, wydawnictwa legionistyczne... Coraz więcej mamy wolności, ale ja... ja nie mam wcale zamiaru umierać z głodu!...

Pan Szczesny przypominał sobie, że umie wcale nieźle śpiewać... Po chwili był już za kulisami teatryku „Muza w trykotach”.

— Czy pan jest „kierownikiem literackim” „Muzy”? —

— Ja — odparło indywiduum łyse, choć młode. — Czego pan sobie życzy?

— Jestem członkiem 20 towarzystw krajowych i tenorem. Czy pan nie potrzebuje tenora?

— Owszem, panie, ale czy pan będzie miał tremę?

Pan Szczesny pomyślał, że trzeba jednak powiedzieć prawdę. Odparł:

— Zdaje mi się, że będę miał.

— Doskonale panie... Właśnie poszukuję człowieka z tremą. Jako kierownik literacki, przekonałem się, że nie boją się wszyscy jednakowo, natomiast boi się każdy inaczej... Trema dodaje wdzięku popisom. Publiczności już się przejedli artyści, występujący z zuchwałością minami torreadorów. O ile więc pan obiecuje bać się, a przytem śpiewać rzeczy

wesołe — bo nie czas dziś na rzeczy smutne! o nie! — to angażuję pana...

Pan Szczesny się zaangażował. Bał się i śpiewał rzeczy wesołe i zarabiał wcale dobrze.

Aż pewnego dnia, niby grom z jasnego nieba, spada nań zawiadomienie urzędowe z towarzystwa popierania gry na fujarce. W słowach cierpkich zawiadamia go towarzystwo, że jeśli nie przestanie się hańbić w „Muzy”, zostanie wykreślony z listy członków towarzystwa... Co innego popisy w kółku poufnym, na imieninach lub jakiej rocznicy... Ale tak — publicznie — brr! nie!

Pan Szczesny nie chciał być wykreślonym z listy członków towarzystwa, porzucił więc „Muzy w trykotach” i został ulicznym czyścicielem obuwia.

Pewnego dnia wyczyścił obuwanie prezesowi „towarzystwa miłośników hazardu”, którego członkiem być miał zaszczyt.

Prezes nie dał po sobie poznać, jakim; w czasie czyszczenia miotany był uczuciami, ale nazajutrz otrzymał pan Szczesny list od towarzystwa... Ustawa nie przewiduje, żeby który z członków towarzystwa drugiemu miał buty na ulicy czyścić... Jeśli więc pan Szczesny nie zaprzestanie, to...

Pan Szczesny zaprzestał; zmienił pracę. Kolejno zajmował się pchaniem wózków, pozbawionych koni, noszeniem ciężarów na plecach, kopaniem rowów, stryżeniem włosów osobom, którym nie chodzi o to, aby nie mieć na głowie schodów, i t. d. i t. d. Ale od wszystkich tych prac odpędział go odpowiedni reskrypt odpowiedniego towarzystwa i pan Szczesny wpadał w coraz „głębszy rów” nędzy nieopisananej...

Wreszcie pomyślał:

— Ha... trudno... trzeba umrzeć... Ale umrę, jako niewykreślony z listy członek dwudziestu stowarzyszeń krajowych.

Pan Szczesny położył się, złożył ręce na krzyż i szczęśliwie doczekał się śmierci.

Pogrzeb zmarłego był wspaniały. Orkiestry dwu towarzystw krajowych pokłóciły się o to, która z nich ma grać w najważniejszych chwilach pogrzebu. Wygłoszono dużo mów, a towarzystwo filatelistów, którego członkiem czynnym był nieboszyk, usypało drogę orszaku pogrzebowego od bram cmentarza aż po grób markami różnych krajów, między którymi nie brakło okazów bardzo rzadkich i cennych!

L. Choromański.



Wiś się śmieje, Wiś płacze...

Wiś, przeczytawszy *Bekantmachung* na ulicy, pędzi rozpromieniony na górę.

— Uważasz, żonusi, już rozlepili! Zielone, uważasz... Powiadam ci, tłumy stoja i czytają!... Nietylko można nie płacić, ale poprostu, uważasz, surowa kara, gdyby kto we właściwym terminie — — —

Wisiowa upada w otwarte ramiona męża...

A Wiś ślubuje uroczyscie:

— Aż do końca wojny grosza jednego! Temu — — —

I spogląda tryumfalnie w kierunku okien gospodarza.

— Grosza mu jednego, uważasz, żonusi, nie — — —

Po obiedzie bierze żonusię pod ramię i funduje jej buty do samych kolan. Sobie krawat i miękki kapelusz! Poczem oboje idą na „frajdę“: do Glasu, do Mirazu, do Warszawki...

Czasy ciężkie, ale gdy się nie płaci komornego — — —

Na pierwszego administratora kłania się Wisiowi do ziemi, Wiś ani drgnie. Na gospodarza nawet spojrzeć nie raczy...

Piętnastego — jako co kwartału — punktualnie o godzinie 12 w południe Wiś w nowym krawacie i miękim kapeluszu jedzie dorożką po odbiór procentu (posag żoneczki). Żoneczka, w buciach do samych kolan, czeka na dole w cukierni. By skrócić chwile oczekiwania, oblicza w myśli:

— Czterysta pięćdziesiąt rubli... Większą połowę „utopię“ (ma się rozumieć!) „w życiu“: przy takiej drożyznie!... Ale za tą drugą (tą mniejszą, niestety) naprawiam sobie, no!... I nietylko sobie, ale i Wisiowi! Biedaczysko od początku wojny ma pensję obciążoną, a wujaszek

sknera siedzi na ogromnej kamienicy na Wroniej (sześćdziesiąt dwa lokale!), i nie chce nic „dodać“ jednemu siostrzeńcowi!...

Aliści Wiś wraca z twarzą hiobową. Nie zapłacili! Nie chcą zapłacić! Nawet nie obiecują!... Może za dwa tygodnie połowę, drugą zaś kiedyś po wojnie!... Nie mają z czego, za lokale nikt nie płaci — — —

Z nosami na kwintę wracają Wisiowie do domu. Wiś mężczyzna, a na płacz mu się zbiera beżmała...

— Gdyby tak jeszcze wypadło zapłacić komorne: pomyśl!... — pociesza go filozoficznie żoneczka...

Ale niespodziewane szczęście uśmiecha się wnet Wisiowi. Pewnego popołudnia wpada na obiad rozpromieniony, jak nigdy:

— Melutku, skarbie najdroższy, jesteśmy uratowani! — krzyczy już od proga, otwierając do Melutki ramiona.

— Umarł wujaszek! — kobiecą przenikliwością wiedzioną, spada mu na pierś żoneczka. I wybucha płaczem wzruszenia...

Aliści już nazajutrz po pogrzebie — wydłuża się twarz Wisiowi. Kamienica na dwie ulice, czternaście okien frontu, pięć pięter, suteryna i facyatka, sześćdziesiąt dwa lokale, od góry do dołu wszystko wynajęte, i — nikt nie płaci!...

— Słyszysz, żoneczko — woła ze zgrozą do Melutki — nikt w całym domu nie płaci! Co za nieuczciwość, wyobraź sobie! Nie płacić komornego?!...

Wisiowa pociesza męża, że ostatecznie na życie jakoś im wystarczy, że wreszcie, każdy im teraz z łatwością pożycz — — —

— No tak, ale tam są zaległe podatki, które natychmiast zapłacić trzeba! A z czegoż je zapłacić, jeżeli nikt — — — Dom mogą wystawić na licytację... Rozumiesz, żonusi? — jęczy Wiś zdruzgotany...

B. Gorceyński.

ba skute postacie walczących niewolników odcinały się czarno i ponuro, jakby w daremnym buncie przeciwko beztłitosnym losom.

Człowiek szedł niepewnym krokiem wzdłuż brzegu, nucąc angielską, uliczną piosenkę. Był to widocznie majtek, wracający z hulanki na pokład swego okrętu. Poza nim nigdzie nie było znaku żywej duszy. Gdy się przybliżył, Artur wyszedł z ukrycia i stanął pośrodku drogi. Majtek urwał nucenie, zaklął i przystanął także.

— Chciałbym pomówić z wami — ozwał się Artur po włosku. — Rozumiecie?

Tamten wstrząsnął głową.

— Ani w ząb — i dodał opryskliwie ohydny francuszczyzną: — Czego chcesz? Czemu mi zastępujesz drogę?

— Pójdź na chwilę w cień; chcę z tobą pomówić.

— Aha! w cień! Akurat! A masz tam nóż za pazuchą?

— Nie! Nie! Czy nie widzisz, że potrzebuję pomocy? Zapłacę za to!

— He? Co? Taki lalusz? No, no!

Majtek znów zaczął mówić po angielsku; ale cofnął się w cień i oparł o baryerę piedestału.

— No — rzekł, wracając do swej okropnej francuszczyzny. — Czegoż chcesz tedy?

— Chcę się stąd wydostać.

— Aha! Dać nogę? I chcesz, że bym cię ukrył? Coś się przeskrobało? Pchnęło się kogoś nożem. Co? Otóż to cudzoziemcy. I gdzieżbyś to chciał powędrować? Nie do policyjnego posterunku, w każdym razie.

Zaśmiał się bezmyślnym śmiechem pijaka, przymrużając jedno oko.

— Z jakiego parowca jesteś? — zapytał Artur.

— Z „*Carlotty*“. Płynie do Buenos Ayres. Ot, tam stoi! — wskazał w kierunku basenu. — Stare, rozklekotane pudło!

— Buenos-Ayres. Dobrze. Może mnie gdzie schowasz pod pokładem?

— A ile dasz?

— Nie wiele. Mam tylko kilka paoli.

— Nie. Mniej niż za pięćdziesiąt nie podejmę się. I tak będzie tanio. Zwłaszcza dla takiego lalusia.

— Dlaczego mnie nazywasz lalusiem? Jeżeli ci się moje ubranie podoba, to się zamień ze mną; ale pieniędzy nie mogę ci dać więcej, niż mam.

— Masz, jak widzę, zegarek. Daj go.

Artur wyjął damski zegarek, ślicznie emaliowany z inicjałami „G. B.“ na kopercie. Był to zegarek jego matki; ale co to teraz znaczyło?

— Hm! Hm! — mruknął majtek, obrzuciwszy zegarek szybkim spojrzeniem. — Skradziony, oczywiście! Daj obejrzeć.

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

BAK.

9

Artur poszedł brzegiem kanału i wkrótce znalazł się na skwerku przed pałacem Medyceuszów. Tutaj to Gemma podbiegła ku niemu z rozpromienioną twarzą i wyciągniętymi rękoma. Tutaj były kamienne, mokre schodki wiodące do kanału, a tam po drugiej stronie wznosiła się forteca, stercząc ponuro nad brudną wodą. Jakże to wszystko było brzydkie i liche!

Minąwszy parę wązkich uliczek, doszedł do doku Darseny i tam zdyął kapelusz i rzucił go do wody. Znajdą go, gdy będą szukać jego ciała. Poczem zaczął iść brzegiem, namyślając się, co ma czynić dalej. Musiał koniecznie ukryć się w jakim parowcu, ale nie było to rzeczą łatwą. Na-leżało zająć do jakiej tawerny w dokach i tam przekupić jakiego majtka.

Ale bramy doków były zamknięte. Jakże się przez nie wydostać, jak ominąć celników? Pieniądzy mu nie starczy, dla pozyskania ich względów, by go puścili nocą, bez paszportu. Zresztą mogli go poznać.

Gdy przechodził koło brzozywego posagu „Czterech Murzynów“, jakiś człowiek wyszedł ze starego domostwa naprzeciwko okrętowego basenu i zbliżył się do mostu. Artur w mgnieniu oka zasunął się w głęboki cień posagu i przyczaił się za piedestałem, ostrożnie z poza niego wyglądając.

Noc była wiosenna, ciepła i gwiazdzista. Woda pluskała o kamienne ściany basenu i wirowała dookoła schodów z odgłosem podobnym do tłumionego śmiechu. Gdzieś w pobliżu skrzypiał łańcuch, kołysząc się zlekka. Na tle wygwiażdżonego nie-

Artur cofnął rękę.

— Nie — rzekł. — Dam ci zegarek; gdy będziemy na pokładzie; nie wcześniej.

— Proszę! Nie jesteś wcale taki głupi, na jakiego wyglądasz. Założyłbym się, że to twoja pierwsza sprawa? Co?

— To moja rzecz. Cyt! Policjant idzie.

Przykucnęli za piedestałem i czekali, aż policjant oddali się znacznie. Wówczas majtek wstał i skinąwszy na Artura, poszedł przodem, śmiejąc się głupkowato do siebie. Artur postępował za nim w milczeniu.

Majtek zaprowadził go na skwer przed pałacem Medyceuszów i stanąwszy w ciemnym kącie, rzekł:

— Poczekaj tutaj; policjant wezmie cię na oko, jeżeli pójdziesz dalej.

— Co chcesz uczynić?

— Postarać się o ubranie dla ciebie. Nie mogę przecież zabrać cię na pokład z tym zakrwawionym rękawem.

Artur spojrzał na rękaw, który mu się podarł przy wylamywaniu kraty i poplamiał krwią pokaleczonych rąk. Widocznie majtek miał go za mordercę. Ha! nic go nie obchodziło teraz, co o nim ludzie myślą.

Po niejakiem czasie majtek wrócił tryumfująco z zawiniątkiem pod pachą.

— Przebierz się — szepnął — a prędko. Czas mi wracać, a żydzisko przetrzymało mnie z pół godziny targując się, jak prawdziwy Judasz.

Artur usłuchał, z instynktownym wstrętem wdziewając cudzą, używaną odzież. Na szczęście, była ona dość czystą, choć z lichego i ordynarnego materiału uszytą. Gdy wyszedł na światło w nowym przebraniu, majtek obejrzał go uroczyście i kiwnął głową z uznaniem.

— No, ujdzie — rzekł. — A teraz chodź i nie rób hałasu.

Artur, niosąc zawiniątko ze zdjętem ubraniem dażył za nim przez labirynt krętych kanałów i wązkich uliczek, tworzący nadbrzeżną dzielnicę, którą mieszkańcy Livorno nazywają „Nową Wenecją“. Tu i owdzie stary, ponury pałac sterczał samotnie wśród odrapanych domków i cuchnących podwórek z taką miną, jakgdyby pragnął zachować swą dawną godność i wiedział, że to jest próżny wysiłek. Niektóre z tych uliczek były znanymi siedliskami złodziei, nożowców i przemysłników; w innych gnieździła się prosto ostatnia nędza.

Przy jednym z mostków majtek przystanął i rozejrzawszy się bacznie dokoła, by się upewnić, że nie są śledzeni, zszedł na dół po kamiennych schodkach do małej, wązkiej przystani. Pod mostkiem chwiała się stara, brudna łódka. Rozkazawszy Arturowi, by wskoczył i położył się na dnie, majtek usiadł na wązkiej ła-

weczce i zaczął wiosłować w kierunku zatoki. Artur leżał na mokrych, zatłuszczonych deskach, ukryty pod odzieżą, którą majtek na niego zarzucił i spoglądał ukradkiem na tak dobrze znane sobie ulice i domy.

Po niejakiem czasie przepłynęli pod mostem i znaleźli się w tej części zatoki, gdzie znajduje się forteca. Potężne mury podnosiły się z wody, szerokie u podstaw i zwężające się ku górze w zębate baszty. Jak mocne, jak groźne wydawały mu się one przed kilku minutami. A teraz —

Zaśmiał się zcicha.

— Stul głowę — szepnął majtek — i schowaj głowę. Zbliżamy się właśnie do komory.

Artur naciągnął ubranie na głowę. O kilka jardów dalej łódź zatrzymała się przed szeregiem mastsztów połączonych ze sobą łańcuchami, które leżąc w poprzek kanału pomiędzy komorą celną a fortecą zagradzały przejazd. Zasnany celnik wyszedł z budynku i, ziewając, pochylił się nad brzegiem wody z latarnią w ręku.

— Pasporty!

Majtek podał mu swoje papiery. Artur nawałpół uduszony pod stołem odzieży, wstrzymywał oddech nad słuchując.

— Ładna pora do wracania na okręt — mruknął celnik. Musiałeś się zdrowo łajdaczyć? A co tam masz na dnie?

— Stare łachy. Tanio kupilem.

Majtek podniósł kamizelkę do obejrzenia. Celnik, zniżając latarnię pochylił się, by lepiej zobaczyć.

— No, myślę, że wszystko w porządku. Możesz jechać.

Podniósł baryerę i łódź wypłynęła zwolna na ciemną, stalową wodę. Gdy oddalił się trochę, Artur usiadł i odrzucił odzież.

— To „Carlotta“ — szepnął po niejakiem czasie majtek. — Trzymaj się tuż za mną i ani mrumru.

Wdrapał się na oślizgły bok olbrzymiego parowca, sapiąc i klnąc pod nosem na niezgrabstwo „ładowca“, aczkolwiek Artur, będąc z natury nadzwyczaj zwinny i zręczny, radził sobie lepiej, niż każdy inny nowicusz na jego miejscu. Raz znalazłszy się na pokładzie, krążyli czas jakiś ostrożnie wśród ciemnych maszyn i powiewów, aż doszli do otworu, którego zastawę majtek pochwycił.

— Szoruj tam — szepnął. — Wróć za chwilę.

Dziura była nietylko wilgotna i ciemna, ale ohydnie cuchnąca. Artur w pierwszej chwili cofnął się instynktownie, dławiąc się odorem zjełczałego oleju i gnijących odpadków. Ale przypomniał sobie ciemnicę w więzieniu i zszedł na dół po drabinie, wznosząc ramionami. Widocznie życie jest wszędzie mniej więcej jednakie: brzydkie, cuchnące, plugawe, pełne haniebnych zakamarków i wstrętnych kryjówek. Swoją

drogą, życie jest życiem i trzeba starać się wyciągnąć z niego, co się da.

Po kilku minutach majtek wrócił, miosąc coś, czego Artur nie mógł dobrze dojrzeć w ciemnościach.

— A teraz daj mi zegarek i pieniądze. Spiesz się.

Dzięki ciemnościom udało się Arturowi zachować trochę monety.

— Musisz mi dać coś do zjedzenia — rzekł. — Umieram z głodu.

— Właśnie przyniosłem. — Majtek podał mu kubek, kawał twardego suchara i porcję wędzonki.

— A teraz słuchaj — mówił dalej — masz wleść do tej pustej beczki, gdy celnicy przyjadą jutro na re wizję. I leż, jak mysz pod miotłą, dopóki nie wypłyniemy na pełne morze. Przyjdę po ciebie, kiedy będzie czas. I nie nawijaj się kapitanowi na oczy. To wszystko. A napitku nie rozlej. Dobranoc!

Majtek spuścił zasuwę. Artur zaś, umiściszy cenny „napitek“ w bezpiecznym miejscu, wdrapał się do pustej beczki po oleju, by zjeść tam suchar i wędzonkę. Poczem skulił się na brudnej podłodze, i po raz pierwszy, odkąd zapamiętał, usnął nie pomodliwszy się. Szczury biegały dokoła niego w ciemnościach; ale ani ich chrobotanie i piski, ani kołysanie się statku, ani mgłący odór oleju, ani zapowiadająca się na jutro morska choroba nie zdołały wybić go ze snu. Wszystko było mu obojętne; nie dbał o nic, jak nie dbał o te zdruzgotane bożyszcza swojej młodości, które wczoraj jeszcze czcił na klęczkach.

CZEŚĆ DRUGA.

W trzynastcie dni później.

ROZDZIAŁ I.

Pewnego czerwcowego wieczora 1846 roku, kółko znajomych zebrało się w domu profesora Fabrizi'ego we Florencji, by omówić wspólnie polityczne plany na przyszłość.

Niektórzy z nich należeli do stronnictwa Mazzini'ego i domagali się demokratycznej Republiki i Zjednoczonych Włoch. Inni byli konstytucyjnymi monarchistami i liberalami różnych odcieni. Na jednym punkcie wszelako wszyscy zgadzali się ze sobą, a punktem tym była toskańska cenzura; i popularny profesor urządził to zebranie w nadziei, że przedstawiciele rozbieżnych stronnictw znajdując w tej wspólnej ranie przedmiot do rozpraw nie pokłóciwszy się ze sobą.

Zaledwie dwa tygodnie upłynęło od czasu słynnej amnestyi, jaką Pius IX, wstępując na Stolicę Apostolską, udzielił wszystkim politycznym przestępcom w państwie papieskiem, i fala wolnościowego zapалу wywołana przez nią rozlała się po całych Włoszech. W Florencji rząd nawet zaniepokoił się tem nadzwyczaj-

czajnem wydarzeniem. Przeto Fabrizi i kilku innych u steru politycznego ruchu stojących florentczyków osądziło, iż była to chwila sposobna do śmiałego zamachu na prawo prasowe.

— Oczywiście — mówił dramaturg Liga, gdy mu tę sprawę przedstawiono — pisma agitacyjnego wydawać nie można, dopóki nie doprowadzimy do zmiany ustawy prasowej; nie dozwolono by nam nawet pierwszego numeru wydrukować. Ale musimy puścić w obieg kilka broszur już ocenzone i wydrukowanych; a im wcześniej zaczniemy, tem prędzej doczekamy się zmiany ustawy.

I teraz w bibliotece Fabrizi'ego tłómaczył swój plan, którego powinni byli chwycić się liberalni pisarze w danej chwili.

— Nie ulega wątpliwości — przerwał jeden ze zgromadzonych, siwołosy prawnik, o rozwekłej nieco mowie, — że w pewnym stopniu możemy i musimy skorzystać ze sposobności. Druga podobnie pomyślna dla przeprowadzenia reform już się nie nadarzy. Ale wątpię, aby broszury odniosły pożądaný skutek. Rozdrażnią tylko i przestraszą rząd, zamiast przechylić go na naszą stronę, do czego właśnie powinniśmy dążyć. Raz zaś, gdy władze dopatrzą się w nas niebezpiecznych wicherzycieli, już nam się ich nie uda pozyskać.

— Więc co mamy czynić?

— Wystosować petycję.

— Do wielkiego księcia?

— Tak; prosząc o rozszerzenie wolności prasowej.

— Dużo się z tego zawiąże — rzekł jakiś śniady brunet, siedzący pod oknem i roześmiał się szydersko. — Sądziłbym, że przykład Renzi'ego powinien wyleczyć na zawsze wszystkich petycyonaryuszów od złudzeń w tym kierunku.

— Upewniam pana, że zarówno boleję nad niepowodzeniem Renzi'ego, jak pan. Ale doprawdy — nie chciałbym tu urazić niczyjej drażliwości — zdaje mi się jednak, iż to niepowodzenie przypisać należy w znaczniej mierze niecierpliwości i gwałtowności niektórych osób z pośród nas. Co do mnie, zawałałbym się.

— Jak zawsze każdy piemontczyk — przerwał szorstko brunet. — Nie wiem, gdzie pan dojrzał tę niecierpliwość i gwałtowność, boć chyba nie w potulnych petycjach, jakieśmy ślali. To się tak może nazywać w Toskanii i Piemontcie, lecz my w Neapolu inaczej się na to zapatrujemy.

— Na szczęście — zauważył piemontczyk — Neapolitańska gwałtowność jest właściwą jedynie Neapolowi.

— Przestańcie, panowie — wnieśli się w sprzeczkę profesor. — Neapolitańskie pojęcia są bardzo dobre

na swój sposób, a Piemontkie na swój; ale obecnie jesteśmy w Toskanii; i jej pojęcia muszą być dla nas miarodajne. Grassini głosi za petycjami, a Galli przeciwko nim. Jakże jest twoje zdanie, doktorze Riccardo?

— Nie widzę nic złego w petycjach, i jeżeli Grassini ją wystosuje, położę mój podpis z największą ochotą. Ale mniemam, iż same petycje nie wystarczą. Czemu nie mielibyśmy operować jednocześnie petycją i broszurami?

— Pro prostu dlatego, że broszury tak by usposobiły rząd, iżby nam petycję odrzucił — rzekł Grassini.

— Ja w żadnym razie nie uczynię tego. — Neapolitańczyk wstał i zbliżył się do stołu. — Jesteście na błędnej drodze, panowie. Zjednywanie sobie rządu na nic się nie przyda. Jedyną rzeczą, jaką nam czynić wypada, to podburzyć lud.

— Łatwiej to powiedzieć, niż wykonać. Jakże się wziąć do tego?

— Galli ma na to gotową odpowiedź z pewnością. Pchnąć cenzora sztyletem i już początek zrobiony!

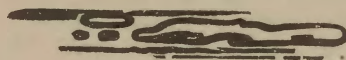
— Bynajmniej! — odparł Galli z mocą. — Wam się zawsze zdaje, że gdy człowiek pochodzi z Południa, to jedynym jego argumentem jest siła.

— Więc cóż proponujesz pan tedy? Uwaga, panowie! Galli występuje z projektem.

— To nie żaden projekt, tylko poprostu pogląd. Mojem zdaniem, w tem bezkrytycznem radowaniu się nowemu papieżowi tkwi wielkie niebezpieczeństwo. Ludziom zdaje się, że ponieważ przez ową amnestję wstąpił na nową drogę, wszyscy powinniśmy rzucić się w jego objęcia, a on nas zaprowadzi prosto do ziemi obiecanej. Co do mnie, nie ustępuję nikomu w uznaniu dla postępu papieża. Amnestya była wspaniałym czynem.

— Wielce to musi Jego Świątobliwości pochlebiać — zaczął Grassini pogardliwie.

Dalszy ciąg nastąpi.



Z literatury.

Rok 1863.

W starannie wydanym tomiku o pieczęci naczelnego Komitetu narodowego z naszymi insygniami państwowymi i wyraźnym napisem „Rząd Narodowy“ — „Równość, Wolność, Niepodległość“ zebrano obrazy i wspomnienia tych tragicznych chwil powstania styczniowego, które po raz pierwszy możemy publicznie omawiać. W tomiku tym Józef Kościuszko-Ożegalski opowiada o swoich przygodach w obozie Langiewicza, Bolesław Anc opisuje bitwę pod Ciepliczami, Władysław Zapałowski kreśli sylwetę wodzów Czachowskiego, Chmieleńskiego i

Bosaka. Jordan-Wieniawski daje informacje o przygodach swoich, jako komisarza Rządu Narodowego, Ludwik Żychliński przygody powstańcze maluje w nieponętnych, prostych słowach, a jednak chwytających za serce. Wspomnienia z powstania na Litwie zawierają opowiadania A. Świętorzeckiego. Rodzajowe obrazy kreśli Nowiński „Ochotnicy na straceńców“ oraz Józef Anc „Wielka Noc powstańców“. O Traugucie i jego ostatnich chwilach informuje M. Dubiecki. O księdzu Brzózce, ostatnim powstańcu mówi Z. L. S. — żołnierz 1863 r. Książeczka ta jest miłym upominkiem dla każdego polaka. Jako pierwsza widoma pamiątka tych czasów zasługuje też na uznanie.

Krwawe dziewosłęby.

Powieść p. Stanisława Wołoszyńskiego opowiada dawne dzieje zatargów politycznych o śliczną Domnę Rozandę. Wyciągały się po nią liczne ręce, a hospodar włoski kulił w różny sposób zadośćuczynić nie tyle sercu córki, ile swoim wyrachowaniom. Jerzy Dymitr ks. Wiśniowiecki rozkocha się w pięknej hospodarównie, znajdzie miejsce i w jej serduszkach — ale zły los popłacz ich dole. Takie przecież wtedy szalały burze, tak na krańcach ziem naszych koczowało ciągle intrygowale i mąciło pokój. O rękę Domny Rozandy starać się też będzie głupawy Tymoszek Chmielnicki. Wreszcie i pan Potocki czekać będzie na Rozandę. W powieści jednak na plan pierwszy wysunie się romans Powłoki i Maruszek. Powieść p. Wołoszyńskiego czyta się łatwo. Dla szerokich warstw czytelników jest interesująca. Język prosty uprzyściplnia doskonale wszelkie intencje autora.

Królestwo Polskie.

Rys historyczny Królestwa Polskiego (1815—1830) skreślony przez p. Mieczysława Offmańskiego może dziś oddać duże usługi, jako książka popularyzująca wiadomości o naszym życiu politycznym, społecznym, ekonomicznym z tego czasokresu. Rządy wielkiego księcia Konstantego, Nowosiłcowa, zabawny wpływ ks. Łowickiej, prace sejmu, troski Lubieckiego, wszystko to znalazło w książce Offmańskiego barwne i zajmujące ujęcie. Tablice statystyczne według wyznania, oświaty, instytucji humanitarnych i przemysłowych Królestwa Polskiego świetnie uzupełniają obraz naszych stosunków.

Stan rolnictwa polskiego w dobie powojennej, a program ekonomiczny Lubieckiego.

Docent uniwersytetu krakowskiego, dr. Edward Strasburgier, wydał w osobnej odbitce prace swoją „Stan rolnictwa polskiego w Polsce powojennej a program ekonomiczny Lubieckiego“. Praca ta drukowana była w „Sfinksie“ i już wtedy spotkała się z dużym zainteresowaniem. Dr. Strasburgier przychodzi bowiem do konkluzji, że „zachowanie się społeczeństwa podczas wojny budzi nadzieję, iż burza szalejąca nie wyróci gmachu, stworzonego wielkimi kulturami“. „A jeśli wyróci, to pokażemy, że go odbudować u podstaw umiemy“.